

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

W NUMERZE:

Henryk Tennenbaum: O sugestji wielkich obszarów... Juliusz Żuławski: Sonety o Londynie...

ROK III - NR. 7 (101) - LONDYN NIEDZIELA 15 LUTEGO 1942

REDAKCJA 229/231, HIGH HOLBORN LONDON, W.G.1 Telefon: CHANCERY 6128

ADMINISTRACJA 9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1 Telefon: HOLBORN 0868

PRENUMERATA kwartalnie w Anglii 9s. 9d. w innych krajach \$2.25

HENRYK TENNENBAUM

O SUGESTJI WIELKICH OBSZARÓW

Na początku naszej pracy przytoczyliśmy wywody myśliciela angielskiego Mackindera. Jeżeli projektowany przez niego pas ma odegrać rolę zapory przeciwko ekspansji niemieckiej i rosyjskiej...

chijskiego (Monachjum à la russe; uwaga nasza). W dalszym ciągu „Economist” wskazuje, ile Anglia może zyskać na wzmocnieniu tych państw...

tym i oczywistym skutkiem istnienia dużego, jednolitego obszaru gospodarczego; udręki Europy tłumaczonej jej pokawaleniem. Wkrótce jednak kryzys w r. 1929 w Stanach wykazał, że duży obszar też nie gwarantuje pomyślności.

może, opowiedziałbym się za dalszą parcelacją, a to dlatego, że uważam, że w ten sposób łatwiej doszło do zbliżenia tych państw pomiędzy sobą; płaszczyny spór pomiędzy nimi byłoby zmniejszone.

myślano. Dopiero po upadku hegemonii francuskiej i wpływów Ligi, państwa na wschód od państw osi wpadły w orbitę wpływów rosnącego niemieckiego „Lebensraum”.

kredytowego jest w znacznej mierze funkcją stosunków ludnościowych, stopnia zatrudnienia i rozmiarów zamieszkania i zalet gospodarczych, nie więc dziwnego, że często nawet gorliwi rzecznicy komasacji gospodarczej wypowiadają się za odrębnością walut i banków emisyjnych w komasowanych gospodarstwach narodowych.

Niestety, liczni politycy ulegają sugestii niezmierzonych, obfitującej w bogactwa naturalne Rosji. Program instalowania Rosji i eksploatacji jej bogactw naturalnych jest daleko bardziej atrakcyjny, niż dokonywanie inwestycji w przeludnionych, zagrożonych politycznie, ubogich krajach Europy środkowo-wschodniej...

Staraliśmy się dowiedzieć w naszej pracy, że polityka angielska nie powinna dążyć do unifikacji Europy, pomyślanej w ten sposób, aby rolniczo-surowcowa Europa środkowo-wschodnia miała uzupełniać przemysłowe Niemcy; polityka angielska nie powinna dążyć do poddania Europy środkowo-wschodniej przewodnictwu Rosji i wciągnięcia jej w orbitę rozległego państwa rosyjskiego...

Teraz wbrew oczywistości zaczyna mieć powodzenie pogląd, że wielka potęga przemysłowa może powstać tylko na wielkim, skomasowanym obszarze. Warunkiem potęgi przemysłowej jest pewna liczebność ludności na odpowiednio zaistalowanym obszarze, stąd wcale jednak nie wynika, aby ten obszar musiał być jednolitym, skomasowanym gospodarstwem narodowym.

Wypadałoby się za dalszą parcelacją, a to dlatego, że uważam, że w ten sposób łatwiej doszło do zbliżenia tych państw pomiędzy sobą; płaszczyny spór pomiędzy nimi byłoby zmniejszone. Nie widać, aby rozwój Belgii, Holandii, Szwajcarii, państw skandynawskich, Łotwy, Estonii, Litwy poważnie uciarpiał spowodować ich małego obszaru. Posiadłości brytyjskie w Afryce Południowej obejmują graniczące ze sobą cztery twory polityczno-gospodarcze: Unję Południowoafrykańską, Południową Rodezję, Południową Rodezję, Afrykę Południowo-Wschodnią...

„Politique d'abord”. „The primacy of politics”. Polityka gospodarcza jest dyktowana motywami politycznymi, społecznymi i gospodarczymi. Polityk składa dowód nieudolności i niedoświadczenia myślowego, jeżeli rezygnuje z postulowania motywów politycznych i społecznych, leżących u podstaw polityki gospodarczej. Są politycy, którzy niepowodzenia Ligi Narodów tłumaczą tym, że Liga zbyt mało zajmowała się sprawami gospodarczymi, i przeciwstawiają niedołężnej Lidze Międzynarodowe Biuro Pracy; idąc tą drogą, że jeszcze większą słusznością można by postawić Lidze za wzór międzynarodowe zjazdy kolowe i umowy dotyczące tranzytu i rozkładu pociągów; ale i wtedy nieporadny polityk nie uniknie kłopotu; przeciw sprawom należności niemieckich za tranzyt przez Pomorze stała się w końcu sprawą polityczną.

„Polityka d'abord”. „The primacy of politics”. Polityka gospodarcza jest dyktowana motywami politycznymi, społecznymi i gospodarczymi. Polityk składa dowód nieudolności i niedoświadczenia myślowego, jeżeli rezygnuje z postulowania motywów politycznych i społecznych, leżących u podstaw polityki gospodarczej. Są politycy, którzy niepowodzenia Ligi Narodów tłumaczą tym, że Liga zbyt mało zajmowała się sprawami gospodarczymi, i przeciwstawiają niedołężnej Lidze Międzynarodowe Biuro Pracy; idąc tą drogą, że jeszcze większą słusznością można by postawić Lidze za wzór międzynarodowe zjazdy kolowe i umowy dotyczące tranzytu i rozkładu pociągów; ale i wtedy nieporadny polityk nie uniknie kłopotu; przeciw sprawom należności niemieckich za tranzyt przez Pomorze stała się w końcu sprawą polityczną.

Wskazywaliśmy, że wydana przez „Fabian Society” praca pani Warriner aprobuje wysiedlanie ludności ze wschodnich dzielnic Polski do Rosji środkowej, na Kaukaz i na Syberię.

Przechodzimy teraz do omówienia sprawy powiązania politycznego tych krajów; jasne jest, że powinny one skoordynować swą politykę zagraniczną, co może być dość trudne ze względu na to, że jedne z nich są antyrosyjskie i proniemieckie, inne antyniemieckie i prorosyjskie. Wskutek tego wspólna polityka wojskowa nie dalaby się łatwo osiągnąć. Zapewne, bez udziału Wielkiej Brytanii nie daloby się osiągnąć takiej koordynacji. Anglia obawia się obarczania się zobowiązaniami w tej części Europy; należałoby dążyć do tego, by Anglia uznała ten teren za strefę swych interesów politycznych. Naszym zdaniem, komasacja gospodarcza w postaci unii celnej nie przyczyni się do koordynacji politycznej, lecz raczej do pogorszenia stosunków politycznych; do istotnego a nie tylko pozornego zbliżenia gospodarczego prowadzi skuteczniej zachowanie odrębności poszczególnych gospodarstw narodowych.

Najbardziej prostacki pogląd wychodzi z założenia, że w celu usunięcia konfliktów politycznych i polityczno-gospodarczych pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami narodowymi, najlepiej jest skomasować poszczególne gospodarstwa narodowe w jednym, wspólnym, połączonym gospodarstwie. Tego rodzaju recepta niewiele się różni od projektu połączenia kilku mieszkań w jedno wspólne olbrzymie mieszkanie w celu usunięcia kłótni między mieszkańcami sąsiadujących mieszkań; należy przypuszczać, że dopiero wtedy spory pomiędzy mieszkańcami zgasnąłyby, nieślychianie.

istnieje obawa, że jednym ze skutków tej adoracji będzie założenie fundamentów pod wielki, scalony obszar rosyjski i pod wielki, scalony obszar niemiecki. Polityka gospodarcza jest tylko odmianą czystej polityki; podział kwot kartelowych jest kwestią polityczną nawet w obrębie jednego państwa; nierównomierne wydatkowanie w różnych okręgach państwa jest kwestią polityczną; kontyngentowanie kredytów przez bank emisyjny w różnych okręgach państwa staje się sprawą polityczną. W wypadku komasacji gospodarczej każda sprawa gospodarcza nabierze ostrego charakteru politycznego. Jeżeli zasadnicze sprawy polityczne, a więc sprawa stosunku do Rosji i do Niemiec, nie będą załatwione, będą one występowały przy załatwianiu każdej sprawy gospodarczej. „Politique d'abord” obowiązuje w sprawach gospodarczych. Złudzeniem jest, że sprawy gospodarcze są leczniczą maścią, mogącą załagodzić palące sprawy polityczne. „The Economist” z dn. 6 września 1941 r. w artykule p.t. „The Primacy of Politics” pisze: „Pogląd, że zlekceważenie spraw gospodarczych po r. 1918 było przyczyną tarć politycznych w okresie następnego dwudziestolecia, jest bardzo rozpowszechnionym złudzeniem; z tego błędnego poglądu wysnuwa się wniosek, że jeżeli teraz sprawy gospodarcze będą załatwione właściwie, sprawy polityczne załatwią się same przez się. Jest to duży błąd. Rozstrzygnięcie z r. 1918 zawiadło, ponieważ jego ramy polityczne były źle po-

tyłko stworzenie należących założeń politycznych dla związku politycznego państw Europy środkowo-wschodniej może doprowadzić do koordynacji polityczno-gospodarczej. Z zacięciem się wzięci polityczni będzie się pogłębiało zbliżenie gospodarce; będzie to wymagało pewnego czasu. Być może, że po upływie pewnego przeciągu czasu zbliżenie polityczne doprowadzi do większego zbliżenia gospodarczego; nie należy jednak uważać zbliżenia gospodarczego za narzędzie zbliżenia politycznego, ponieważ sprawy gospodarce są uwarunkowane czynnikami politycznymi.

„Polityka d'abord”. „The primacy of politics”. Polityka gospodarcza jest dyktowana motywami politycznymi, społecznymi i gospodarczymi. Polityk składa dowód nieudolności i niedoświadczenia myślowego, jeżeli rezygnuje z postulowania motywów politycznych i społecznych, leżących u podstaw polityki gospodarczej. Są politycy, którzy niepowodzenia Ligi Narodów tłumaczą tym, że Liga zbyt mało zajmowała się sprawami gospodarczymi, i przeciwstawiają niedołężnej Lidze Międzynarodowe Biuro Pracy; idąc tą drogą, że jeszcze większą słusznością można by postawić Lidze za wzór międzynarodowe zjazdy kolowe i umowy dotyczące tranzytu i rozkładu pociągów; ale i wtedy nieporadny polityk nie uniknie kłopotu; przeciw sprawom należności niemieckich za tranzyt przez Pomorze stała się w końcu sprawą polityczną.

Należy przypuszczać, że część z nich ponownie znalazłaby się w orbicie wpływów niemieckich. Obecnie dzieje się to z Węgrami, Rumunją, Bułgarią, Słowacją i Finlandją.

Ulegamy zbytnio powstaje w ostatnich czasach sugestji wielkich obszarów i centralnego kierownictwa na rozległych terenach. W czasie ubiegłej wojny Niemcy wystąpiły z projektem „Mitteleurop”; głównym jej rzecznikiem był Naumann. Po powstaniu kilku nowych państw Niemcy rozwinęły na wielką skalę propagandę przeciwko utworzeniu nowych granic celnych; zaczęto dowodzić, że pomyślna sytuacja Stanów Zjednoczonych jest przes-

W wypadku rozszerzenia się sfery wpływów rosyjskich rozwój przemysłowy tych krajów zostałby zahamowany, zaczęłyby się one zapewne wydłubnąć na rzecz Rosji, ich struktura gospodarcza cofałaby się jeszcze bardziej; w ten sposób stałyby się one rolniczo-przemysłowym uzupełnieniem Niemiec; na wschodzie powstałyby przesłanki gospodarcze dla ponownej ekspansji niemieckiej.

Jeżeli pas państw w Europie środkowo-wschodniej nie będzie dostatecznie szeroki od zachodu do wschodu, musi na nim powstać sfera wpływów rosyjskich i sfera wpływów niemieckich.

Na początku naszej pracy omówiliśmy sprawę ograniczeń antyimigracyjnych. Nie ulega kwestii, że kraje, nie mające bezrobocia lub mające mały odsetek bezrobotnych, nie będą wpuścić ludności z krajów sąsiednich; być może, że po wojnie wystąpi brak sił roboczych w pewnych krajach, ale nawet wtedy jest wątpliwe, czy te kraje pozwolą na stałą imigrację.

Jeżeli pas państw w Europie środkowo-wschodniej nie będzie dostatecznie szeroki od zachodu do wschodu, musi na nim powstać sfera wpływów rosyjskich i sfera wpływów niemieckich.

Wskazywaliśmy, że wydana przez „Fabian Society” praca pani Warriner aprobuje wysiedlanie ludności ze wschodnich dzielnic Polski do Rosji środkowej, na Kaukaz i na Syberię.

Wskazywaliśmy, że wydana przez „Fabian Society” praca pani Warriner aprobuje wysiedlanie ludności ze wschodnich dzielnic Polski do Rosji środkowej, na Kaukaz i na Syberię.

Wskazywaliśmy, że wydana przez „Fabian Society” praca pani Warriner aprobuje wysiedlanie ludności ze wschodnich dzielnic Polski do Rosji środkowej, na Kaukaz i na Syberię.

Wskazywaliśmy, że wydana przez „Fabian Society” praca pani Warriner aprobuje wysiedlanie ludności ze wschodnich dzielnic Polski do Rosji środkowej, na Kaukaz i na Syberię.

Wskazywaliśmy, że wydana przez „Fabian Society” praca pani Warriner aprobuje wysiedlanie ludności ze wschodnich dzielnic Polski do Rosji środkowej, na Kaukaz i na Syberię.

Wskazywaliśmy, że wydana przez „Fabian Society” praca pani Warriner aprobuje wysiedlanie ludności ze wschodnich dzielnic Polski do Rosji środkowej, na Kaukaz i na Syberię.

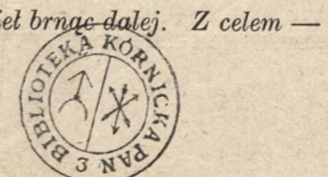
JULJUSZ ŻUŁAWSKI

SONETY O LONDYNIE

I Jak myśl bawić w niewoli, sercem prozaisty? Szaradą słów wspomnienia z mgieł łowię i mierzę... Lud grozi dyktatorom na Trafalgar Squarze... Ciszę płoszy z bram króla tylko krok gwardzisty.

II Gdy potknę się o pustkę — wspomnę twoje imię, Panno cięta i tkliwa. A gdy — klnąc marzenia — Zechcę mówić i działać — wtedy bezużycia Ciebie i twoją przyjaźń wspomnę, Hieronimie.

VII Już w mgłę cię pogrzebałem zwięznię — lecz raz jeszcze wspomnę — zanim pożegnam — miasto echem strojne! Bo w krwi mi jeszcze krąży twe dni niespokojne I twe — zmienne jak miłość — obłedy i dreszcze.



JULJUSZ ŻUŁAWSKI

HENRYK TENNENBAUM

\* Rozdział z książki „Europa środkowo-wschodnia w gospodarstwie światowym”, która jednocześnie ukazuje się nakładem M. I. Kolina.

Cz 4570/1942/7

## ZYGUMT BOHUSZ - SZYSZKO

## SZULER

Sosnowy wysokopienny las nie miał podszycia, rósł na piaszczystych wydmach, pokrywanych gładziemi płamami różnokolorowych mchów. Żołnierze leżeli grupkami przy pniach sosen, przygotowując ukrycie zarówno przed wzrokiem lotników niemieckich jak i przed promieniami słońca. Powietrze, przepojone zapachem żywicy, drgało upałem rozlewnością i usypiającym. Za małą kępą jałowców kilku żołnierzy, rozbranych do sosu, grało w oko. Gra szła leniwie, bez zwykłego w takich wypadkach temperamentu i ożywienia, każde odezwanie było wypowiedziane jakby odniedzwienia. Kibiców też było mało — dwóch czy trzech; dopiero szafszawiano gry przez jednego z graczy wywołano większe ożywienie i podniecenie. Padły mocne żołnierskie słowa. Padło określenie „szuler” i propozycja bicia go w morde.

Krótkie odgłosy samotności się, i wyrzucano szulera na zbity łeb z grona uczestników gracy. Ta krótka scena, rozgrywająca się w bezpośredniej bliskości ode mnie, przeniosła nagłe i niespodziewanie myśl moją o dwadzieścia lat wstecz. Wtedy była również wojna — wojna ciężka, wojna bogata w wypadki, w niespodzianki, zwycięstwa i porażki. Szczególnie początki jej były trudne. Na obrzecznych przestrzeniach kresów wschodnich nasze oddziały, dopiero co sformowane, były jak uzbrojone, pozbawione nieraz najelementarniejszych a niezbędnych do prowadzenia wojny przedmiotów uzbrojenia, rynsztunków i taborów, dawały sobie jednak radę. Z każdym dniem wzrastała ich siła, ochotnicy bowiem przybywali zarówno z Polski jak spoza kordonów.

Była to wiosna 1919 r. Kompanja moja stała w odwodzie w małej, ubogiej wiosce litewskiej. Któregoś dnia do kancelarii kompanijnej przyprowadzono jakiegoś cywila. Był dość porządnie ubrany, miał wygląd inteligenta. Wysoki, postawny brunet ze starym przedziałem, o bystem spojrzeńiu czarnych oczu, blaskający szeregiem złotych zębów przy każdym uśmiechu. Zgłaszał się na ochotnika do wojska. Nazywał się Aleksander Bolec. Zapytany o swój zawód w cywilu, odpowiedział krótko i spokojnie: — Szuler.

A gdy spostrzegł zdumiony wzrok obecnych, dodal: — Nie taki sobie zwyczajny, jarmarczny szuler — takich szulerów, jak ja, jest zaledwie kilku na świecie — ja jestem szuler międzynarodowy.

— No dobrze, — zapytał dowódca kompanji, — jak pan jest szulerem, to poco przychodzi pan do wojska?

— Czy szulerowi, panie kapitanie, nie wolno być patrzą i żołnierzem? — z akcentem urażonej dumy odzeczł Bolec. — Niech pan wejrzy w ten wzrost — nie gram w karty.

Postawna sylwetka tego człowieka, jego szczerść i śmiałość odpowiedzi spodobaly się kapitanowi. Zresztą tak się złożyło, że jego kompanja stanowiła zbieranie ludzi, których normalnie nazywają: typy spod ciemnej gwiazdy. Znaleźli się tam bandyci z Łodzi, złodziejaski z Powiśla i przemytnicy spod Suwałk; byli to jednak pierwszorzędni żołnierze i nigdy w boju nie zawiedli. Ale ponieważ czasy były niepewne i pod pozorem ochotniczego zgłoszenia się łatwo mógł dostać się do oddziału szpieg, dowódca kompanji kazał sierzantowi szefowi i jednemu z dowódców plutonów obserwować Boleca.

Historja jego była wręcz niesamowita. Pochodził z Mazowsza, ojciec jego, gospodarz matorolny, obarczony liczną rodziną, na wiele lat przed wojną zdecydował się wyemigrować na Syberję. Pociągi emigracyjne wlokły się wówczas miesiącami, zanim dotarli do celu. W czasie podróży dwunastoletni Olek zbulił swoich rodziców. Na którychże stacyj wyskoczył z pociągu, a gdy wrócił, już go nie zastał. Aż do czasu emigracji nie wychylał on nosa poza swoją małą zapadłą wioszczyznę i najbliższe żydowskie miasteczko. Po rosyjsku nie mówił, porozumieć się więc z nim nie mógł i znalazł się naprawdę w trudnym położeniu. Na jego szczęście lub nieszczęście zaopiekował się nim marynarz, Polak z Władystoku, wracający z urlopu w kraju. Zabrał go ze sobą i do czasu odszukania rodziców, umieścił go na statku rybackim, na którym był zatrudniony. Przez jakiś czas chodzili razem po różnych urzędach rosyjskich we Władystoku, usiłowali jakiegoś podania i czekali na odpowiedź. Odpowiedź nie nadchodziła, a tymczasem zbliżał się dzień odjazdu statku na dalekomorskie połowy.

Z konieczności popłynął i Olek. Tłuścił się przez kilka miesięcy, po dalekich morzach, gdzieś na północ od Kamczatki, poznał twarde życie i pracę rybaków i marynarzy. Przywiązał się do swego opiekuna i zupełnie zapomniał o rodzinie. Był chłopcem silnym, dobre robienia, umysł miał żywy i bystry. Łatwo więc przyswajal sobie wszystkie arkana zapuszczania i wyciągania sieci, oprawiania wylowionych ryb, zrucania i podnoszenia kotwicy, szorowania pokładu i zaszczepiania kordzwiałych lańców. Te dwa zajęcia najwięcej dawały mu się we znaki i najmniejszy budyli w nim zapał. Gdy po skończeniu dnu pracy żałoga zbierała się w kambuzie, słabo oświetlonym lampą naftową — wówczas kwitł hazard. Po rybolóstwie było to właściwie drugie najważniejsze zajęcie marynarzy. Prym wódził tu opiekun Olka — okazało się, że był on nie tylko marynarzem i rybakiem, lecz również szulerem. Sprytny Olek stał się wkrótce dla niego nieocenionym pomocnikiem. Razem szchorowali i razem brali za to wielokrotne cieżgi. Twarde pięści marynarskie były dla Olka pierwszym bodźcem do udoskonalenia metod szulerki.

W miarę jak szły lata, Olkowi zaczęło być ciasno na małym rybackim statku.

Bujna wyobraźnia unosiła go ku dalszym i szerszym horyzontom. Skorzystał więc z pierwszej okazji, zaangażował się jako chłopak okrętowy na statku linii japońsko-amerykańskiej i wyruszył w szeroki świat.

Przechodził różne koleje, poznał prawie wszystkie kontynenty i wyspy i na dłużej osiadł nareszcie w jednym z portów amerykańskich. Praca na okrętach była trudna i ciężka, a zarobki małe, więc stało się tak że Olek uważał zaczął szulerkę za swój główny zawód, a wszystko inne traktował jako uciążliwy dodatek. Wiodło go nad szulera Pan Bóg czuwa i prowadzi ich po krętych drogach szulerkich, Olek bowiem miał szczęście. Przyłapano na jakiejś szulerce i srodze pobity, dostał się nadomiar złego w ręce policji i byłby niechybnie ugrzązł w więzieniu, gdyby nie interwencja jakiegoś zupełnie nie znanego poważnego i zasobnie wygadającego gentelmana. Pan ów przeprowadził dłuższe konferencje ze strażnikami porządku publicznego, wyzwoił Olka z ich rąk i zabrał ze sobą. Tajemnicą tego wywabienia wkrótce się wyjaśniła.

Pan ów był jednym ze znakomych międzynarodowych szulerów. Żyła graza zawsze i wszędzie ciągnęła go ku grającym w karty, gdziekolwiek ich zobaczył. Okazało się, że przysiadł się niepostrzeżenie grze popierającej ostatnią awanturę, dostregł odrazu szulerkę Olka i fachowem okiem ocenił jego wrodzone zdolności w tym kierunku.

— Masz talent, — powiedział Olka, — tylko brak ci szkoły, jesteś fuserem ostatniego rzędu.

Zaczął się nowa karta życia i karjera Aleksandra Bolca. Pod światłem kierownictwa swego nowego patrona kolejno przechodził wszystkie etapy nauki szulerkiej. Przechodził solidny trening różnego rodzaju i ćwiczył się w zręczności palców, a równocześnie nabierał ogłady towarzyskiej i pozorów człowieka inteligentnego, gdyż było to nieodzownym warunkiem powodzenia w jego fachu.

Niedługo przed rokiem 1914 przejął on na odpowiednio ułożonych warunkach finansowych teren działania od swego starszego się, łaknącego spokojnego życia profesora.

W wojnie światowej brał udział we wszystkich możliwych armjach, nosił różne mundurki, lecz jedną jego bronią były karty. Z dumą opowiadał, że pobił Niemców i Austriaków dużo wcześniej od sprzymierzonych, gdyż przy jakiejś okazji ogrył do ostatniego feniga kilku generałów, pułkowników i innych majorów.

Dla tego człowieka bez domu i bez ojczyzny odrodzenie Polski stało się obja-

## ARKADY FIEDLER

GÓRA BIJE ŚWIATŁEM\*  
Z CYKLU „GORĄCA WIEŚ AMBINANITELO“

Stoła się: podnosze otwarty bunt przeciw wsi Ambinaniteło. Obrzydliwy mi jej chytre półsłówka i półczyściwości, jej zdradliwe unikanie wzroku i rzucanie słowa. Chcę prostej drogi; chcę nareszcie przyprzeć małąską duszę do muru i spojrzeć jej jasno oko w oko. Odrzuciłem się od kilku dni drapieżnością modliszek; wychodzi mi to na dobre. Z tych doświadczeń zrywam się zły jak os, rozjuszyony jak byk i gotów poruszyć niebo i ziemię.

Wiesz śledeci mnie zdaleka z niepokojem i trwoży się, dokąd podniecenie może doprowadzić biednego człowieka. Starszyna myśli, że rozbroi mnie łatwo i tanio; znosi mi plony ziemi, ogromny stos darów. Kokosy, ryż, owoce drzewa chlebowego, banany, jarzyny, kury, jaję, trzcinę cukrową. Mam to wszystko jeść i odczuwać wielką przyjaźń i gościnność siola — balamuci mnie soltsy Bezaaza w niezmiernie długiej i zawilej przemowie, pełnej barwnej kwiekowości i miodowych słów. Zjem, Bezao, nawet i twój miód i zaspokoje głód żołądką. Lecz czy na tem koniec twej gościnności, ej? Gościnności starmalgaskiej?

Nie, banany i kokosy już nie powstrzymają mego gniewu i nie powściągną mego rozpadu. Dość zabawy w ciucubabkę. Parne gorące doliny rozpadła zmysły i ogłuszyło sumienie. Popelniam — właściwie mówiąc — lajdactwo. Później będę się wstydzil samego siebie i przepraszal pamięć Beniowskiego. Później!

Dziś siedzi starszyna w mej chacie, pije rum i zakłopotana słucha mych słów. Jest kłopot. Nauczyłem się od samych Malgaszów: na pomoc biorę pobliską górę Beniowskiego, urzekam ją i siłą ściągam na dół w dolinę. Nagle cała ta bryla ziemi ożywa, zsuwa się na wieś, spada na umyśli mieszkańców, zapala ich wyobraźnię i przytłacza jak ciężki los. W los brązowego człowieka wplatają się ciagle żywe części przyrody, ptaki, kameliony, drzewa, rzeki, góry. Teraz oto nawet góra Beniowskiego weszła do naszej chaty i gniebi zebrań starszynę.

... Duch Beniowskiego — prawie — żyje do dziś nie tylko na tej górze, o czym doskonale wiedzą Berandro i Dzinarivelo,

wieniem i punktem zwrotnym. Zupelnie nagle i niespodziewanie dla niego samego zrodziło się w nim poczucie przynależności narodowej i tęsknota do ojczyzny. Rzucił intratne zajęcie szulera i wstąpił jako ochotnik do wojska polskiego.

W kompanji nie krył się ze swoją przeszłością, chętnie opowiadał o różnych zdarzeniach swego życia i demonstrowal swój kunszt szulerki. Demonstracje te z reguły odbywały się w obecności licznej gremjum widzów, albowiem nawet z sąsiednich kompanji i bataljonów przychodzili żołnierze i oficerowie podziwiać jego zręczność, nigdy jednak z nikim z wojskowych polskich nie grał na pieniądze. Już po tygodniu jego pobytu w kompanji, zarówno koleday jak i dowódcy przekonali się, że jest to morowy żołnierz, świętny kompanji i sympatyczny człowiek, a że był silnej budowy i jako szuler z konieczności świetnie znał boks, zyskał sobie zmieszca pełne uznanie i respekt całej kompanji. Osiągnął to tanim kosztem kilku wybitych zębów i nadwyrężonych szczęk.

Kompanja znowu poszła do pierwszej linii. Wywiązały się ciężkie walki pod Stoniem i Nowogórkami. Żołnierze z ciekawością czekali na wyniki pierwszego bojowego chrztu, jaki miał przeżyć Bolec. Podkpiwali sobie z niego, twierdząc, że „walka, bracie, to nie woita w karty, tu żaden as pikowy czy inny nie pomoże”. Spokal ich jednak zawód. Olek był człowiekiem, który od lat dziecinnych patrzal prosto w twarz niebezpieczeństwu i śmierci w czasie burz na morzach północnych. Przeszedł niejedną bójkę, w której czestowano nie tylko pięścią, lecz również błyskawicą nożem przed oczami.

## SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglii aby zwracali się z zaufaniem oosobie lub droga pocztowa z receptami i z wszelkimi zapotrzebowaniami farmaceutycznymi lub medycznymi do składów aptecznych:

**John Bell & Croyned, 50/52, Wigmore Street, W.1**  
(stulba dzienna i nocna)

**Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1**  
**Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1**

wszystkie pod ściślę kontrola

**SAVORY & MOORE LIMITED**  
Aptekarzy Jego Królowskiej Mości  
143, New Bond Street

LONDON

W.1

Kiedy jego pluton ruszył do natarcia po otwartem polu pod silnym ogniem karabinów maszynowych i artylerji, szedł tak jakby nie słyszał strzałów i gwizdu kul. Odrazu okazał się doświadczonym i dzielnym w boju żołnierzem.

Okazało się wkrótce, że góruje on nad innymi szybkością orientacji, pomyslowością i inicjatywą. Wyrwał się na każdy trudniejszy i niebezpieczny patrol, podkrał się z kilkoma kolegami i wykańczal placówki bolszewickie, fasował nieprzyjańskie karabiny maszynowe. W bardzo krótkich odstępach czasu zaawansował na starszego strzelca, potem na kaprala i plutonowego. Czasami budziła się w nim wilcza, a raczej szulerka natura: ciągnęło go do kart i gry, stawał się smutny i zamysłony. Kiedy kapitan, dowódca kompanji, po raz pierwszy zobaczył go w tym stanie, zapytał:

— Co wam jest, Bolec, chorzy jesteście?

— Nie, panie kapitanie, nic mi nie jest — bąknął pochmurnie Olek.

Ton odpowiedzi i smętny wzrok, utkwiony gdzieś w dal, nasunęły kapitanowi przypuszczenie, że jest to cierpienie natury moralnej, a ponieważ wiedział, że Bolec poza kompanją nie ma ani przyjaciół, ani rodziny, ani kobiety, odgadł źródło tęsknoty:

— Zagrałbyście, Bolec, co? — powiedział bez drwiny.

Oblicze Bolca rozświetlił na chwile jak gdyby błysk.

— Tak, panie kapitanie, zagrałbym — powiedział prosto.

Była to już jesień 1919 r. Kompanja znajdowała się wówczas przejściowo na

litewsko-polskiej linii demarkacyjnej i była niedaleko Wilna.

— Dam wam urlop na kilka dni — powiedział dowódca kompanji. — Jeżeli w przyszłości znowu będziecie coś takiego przeżywali, przyjdźcie do mnie i powiedzcie.

Oczy Bolca rozchmurzyły się i spojrzal z wdzięcznością na dowódcę. Wieczorem już go nie było. Minęło kilka dni. Uwagę dowódcy kompanji zwrócił pewnego wieczora jakieś niezwykle ozywienie, panujące na kwaterek, a usuż jego dobiegł podejrzanym kwiek świniaka i gładkanie kur. Wyszedł więc ze swej kwatery i pierwszego z napotkanych żołnierzy zapytał o przyczynę tego hałasu.

— Bolec wrócił, panie kapitanie, i funduje kolacje całej kompanji — oznajmił wesolo zapytany.

— Przyślęcie Bolca do mnie — powiedział kapitan.

Gdy winowajca tych hałasów zameldował się, kapitan kazał mu opowiedzieć o przebiegu jego urlopu.

Wilno było wówczas ośrodkiem, do którego tłumnie zjeżdżali się ludzie różnego autoramentu: obywatela wracający do swoich majątków, doradcy wojskowi, kupcy, dyplomaci i cudzoziemcy. Bolec zanurzył się w tem życiu jak ryba w wodzie. Zwąchał odrazu, gdzie i jakie są szulerne, w których z nich warty zagrać a które nie warte są zachodu. W jednej z tych szuleri spotkał on konkurenta — również szulera. Kapitalny był pogardliwy ton, jakim opowiadał o nim Bolec.

— Patrz się ja na niego, że to „takie” siada do gry, i myślę sobie: „Zaczekaj, bracie, ja ci dam szkołę” i poprowadziłem go do siebie, panie kapitanie, to go szlak chce trafić i morowa krew zalewa. Klądzie się wtedy na upadłego. Jak mu już odebrałem ostatnią markę polską i ostatniego feniga, a on chciał wyjść, zatrzymałem go za frak, dałem mu 25 mk na dorozkę i powiedziałem na ucho: „Na jarmarkach ci, bracie, grywać, a jak chesz w porządnem towarzystwie siadać do gry, to przyjdź pan do mnie na dwa lata w terminatory”.

Patron szulerów dał Bolcowi pod koniec jego pobytu w Wilnie inną jeszcze ciekawą przysługę. Któregoś wieczora Bolec poszedł na kolację do restauracji George’a. Przy sąsiednim stoliku siedzielo dwóch oficerów francuskich i dwóch angielskich i nie mogli się dogadać z kelnerem. Bolec, władający świetnie językiem angielskim, wytłumaczył kelnerowi o co chodzi. Cudzoziemcy należeli do mieszanej komisji delimitacyjnej i przyjechali z Kowna na kilka dni do Wilna. Ujeści grzecznością i

uczynnością Bolca, zaprosili go do swego stolika. Miła pogawędka, a jeszcze miłsza popijawa przeciągnęła się późno w noc. Jednemu z Anglików przyszła chęćka zagrania w pokera. Zapytał więc, czy Bolec grywa w tę grę.

— Dawniej kiedyś trochę grałem — oznajmił spokojnie i skromnie Bolec.

— No to chodźmy do mnie i zagramy — zaproponował Anglik.

Całe towarzystwo udało się do jego pokoju. Jasna rzecz, że funty, dolary, franki i inne waluty zrana były w kieszeni Bolca. Oto dlaczego kompanja Bolca miała tak obfity poczęstek.

W ciągu zimy dwa czy trzy razy jeszcze Bolec wyfruwał w ten sposób w świat i po kilku dniach wracał uspokojony nerwowo i zaopatrzony w gotówkę. Za każdym razem przez kilka dni zrędu kompanja Bolca miewała dobrą wyzerkę i opływała w dostatkach. Bolec bowiem nie był chytry na pieniądze — całą wygraną obracał zawsze na potrzeby koleżków.

Z wiosną 1920 r. kompanja została ściągnięta z linii demarkacyjnej i znowu weszła do akcji bojowej. Przynszly gorące dni naszego odwrotu pod Warszawę. Przeplatanka zacietych walk z uciążliwymi marszami doprowadziła kompanję w okolicę Wyszkowa. Straty miała duze, wielu z przyjaciół Bolca poległo lub znajdowało się w szpitalach, on sam jednak, pomimo brawurowej odwagi, dotychczas wychodził cało. Trzydniowy bój pod Wyszkiem był szczególnie ciężki. Kompanja znalazła się na odcinku atakowanym przez korpus konny Gaj-Chana.

Polska pozycja obronna biegła skrajem wielkich lasów wyszkowieckich i tworzyła kąt prosty. Narożnik tej pozycji, wystawiony na ataki z dwóch stron, był obsadzony właśnie przez kompanję Bolca. Część okopów biegła otwartem polem. Odbywały się tam kilkakrotnie szarże Kozaków, następujące jedna po drugiej. Po odparciu jednej z szarż, kompanja dostała rozkaz przeciwdzierzenia i zajęcia fady terenowej, znajdujące się o paręset metrów przed okopami. Natarcie się nie udało, ogień nieprzyjaciela był zbyt silny. Zanim obsadzono ponownie „okopy, w kompanji zapanowało zwykłe w takich razach zamieszanie. Dopiero po kilku minutach porządek został przywrócony, i zorientowano się w rozmiarach strat. Bolec, który w tym czasie już dowodził plutonem, skorzystał z chwilowej przerwy w walce i udał się do plutonu sąsiedniego, którego dowódcą był jego najbliższy przyjaciel w kompanji, sierżant Galecki. Tu dowiedział się, że Galecki został zabity. Ciało jego zostało na przedpolu w odległości trzystu do czterystu metrów od okopów. W jednej

tam zwłok przyjaciela. Postanowił iść sam po nie. Kilku żołnierzom, którzy ofiarowali się iść z nim razem, kazał zostać, tłumacząc, iż ruch kilku ludzi będzie zbyt widoczny i że niepotrzebnie narażi ich na ogień nieprzyjaciela. Zostawiwszy w okopach swój rynsztunek, jednym rzutem ciała znalazł się na zewnątrz i począł biec w kierunku wskazanym mu przez żołnierzy. Przypadał do ziemi, gdy kule zbyt gęsto gwizdały mu koło uszu, rozglądał się uważnie, by nie przeczyc zabitego kolegi. Znalazł go po kilku minutach. Sierżant leżał nawznak, z lewej strony jego piersi na mundurze widniała ciemna, krwawa plama. Bolec podczołgał się do niego i zarzał mu w twarz. Oczy sierżanta były zamknięte, zsiniałe usta mocno zwarte, lecz z głębi krłani odzywały się ciche, ledwo dostrzegalne rzęzenie. „Żyje!” — z radością pomyślał Bolec. Rozpiął mundur kolegi, rozdarł koszule i jak mógł i umiał znalazł mu prowizoryczny opatrunek. Sam przez ten czas odczopał i zaczął zastanawiać się nad drogą powrotną. O przebiegnięciu z rannym na rękach lub na plecach trudno było marzyć. Bolec był wprawdzie silnym mężczyzną, lecz i sierżant był nie ulomek. Wlec rannego po ziemi byłoby niechybnie podpisaniem na niego wyroku śmierci, a trzeba było wracać, gdyż w każdej chwili można było spodziewać się nowej szarży Kozaków. Koleday z okopów starali się ułatwić powrót Bolca, otwierając silny ogień po stanowiskach nieprzyjacielskich. Bolec połozyl się na brzuchu obok rannego i powoli, łagodnie wciągnął go sobie na plecy. „Jak pójde z nim tak — myślał przy tem — a trafię, to mu niechybnie jeszcze za dwie kule wpałużę, muszę więc iść tyłem, wolniej będzie, ale pewniej”. Uchwycił następnie kolegę mocno za przeguby rąk, zabrał się w sobie i z wysiłkiem stanął na nogi. Następnie obrócił się twarzą do nieprzyjaciela i osłaniając w ten sposób własnem ciałem bezwładnego kolegę, począł wolno, krok za krokiem, cofać się tyłem. Manewr ten powtarzał wielokrotnie, co kilka kroków zatrzymywał się, kładł się bądź dla wypoczynku, bądź dlatego, że kule zbyt gęsto zaczynały gwizdać dookoła. Czuł, że coraz mu trudniej podnosić się z bezwładnym ciężarem rannego, zdawał sobie sprawę że nogi coraz częściej uginają się pod nim i odmawiają posłuszeństwa. Własne okopy były już tak blisko, że słyszal glosy wolałych do niego żołnierzy. Zrozumiał, że za chwile przybiegną mu z pomocą. Istotnie, kilka postaci wyskoczyło nagle z okopów, przebiegło pędem przestzeń, dzieląc ich od Bolca i rannego sierżanta, i padło obok nich. W następnej chwili cztery pary silnych rąk chwycyły Galeckiego, poczem żołnierze poderwali się i znowu pędem wrócili do okopu. Bolec był tak wyczerpany, że musiał jeszcze pozostać na przedpolu dla złapania tchu. Wrócił nieudrągnięty kulami wroga.

W kilka tygodni potem, kiedy się rozpoczęła nasza ofensywa, w jednym z ataków na bagnety Bolec padł trafiony kulą w czoło pomiędzy brwiemi. Był już wtedy sierżantem.

dawnych dziejów zawsze smakuje brązowym ludzimi jak słodkie owoce mango.

Po chwili milczenia dodaje z uśmiechem: — A my, dwaj biali ludzie, jesteśmy waszymi gośćmi, lecz przecież krokodyliami nie jesteśmy i wbrew śpiewom głupiego Zarabe dziewczyn naprawdę zjadać nie chcemy...

Wtem powstaje stary Dzinarivelo, mój dobry druh, który wie, co to jest pisanie i co jest książka, gdyż kiedyś w mej książce o lesie kanadyjskim oisnęły go fotografie drzew, i woła nakazującym głosem: — Jesteś naszym przyjacielem i musisz o nas dobrze pisać!!!

Wzruszam ramionami i spojrzaniem wskazuję w stronę chaty, gdzie siedzi w kacie kilku obywateli o osowiachy gebach, kuzynów soltsy Bezaazy. I oni piją mój rum, lecz milczą zawzięcie i udają zamysłony, coraz uparciej wlepiają oczy w ziemię. To krnąbrni przeciwnicy. Ich bierność zagraza mi istotnem niebezpieczeństwem. Jeśli rychlo nie podniosę wzroku i nie wezmą udziału w ogólnej rozmowie, mój dzisiejszy wybuch spali na panewce. Bogdan Krezmer pilnuje ich jak oka w głowie i wciąż dolewa im rumu. Na nic; trwają w zachmurzeniu...

— Patrzcie, patrzcie! Góra!!! — krzyczy nagle przyjaciel Berandro i jak oszalały wybiega przed chatę.

Słońce właśnie zachodzi za górami. Niziny w dolinie zalega już wieczorny cień, natomiast najbliższa góra, góra Beniowskiego, tuż na przeciw mej chaty, obłana ostatnim potokiem słońca, jest ogromnie czerwona i dziwnie plonie, plonie jak zaczarowany ogień. Na jej stokach blizczę jaskrawo drzewa goździkowej plantacji, na szczytcie promieniącej resztki starej puszczy. Cały krajobraz dookoła, nawet sąsiedni łańcuch niższych szczytów, zapadł już w spokojny, foletowy sen; tem zachwale, tem upiornie świeci rozpasany blask tej jednej góry.

Wspomniałem widowisko, powtarzające się prawie co wieczór o tej porze, dziś, po okrzyku Berandry, nabiera nowej, tajemniczej treści. Naraz góra przedstawia się Malgaszom jako żywe widmo. Widzą, że rzuca komuś głosem wyzwanie, że czemuś stawia harde czolo, wpada z jakiejś przy-

czyny w czerwony szal. Góra daje im wyraźne, wymowne znaki.

I naraz moi goście, podnieceni i jakby rozumiejąc te znaki, wyruszają głośno swe wzruszenia, niektórzy krzyczą. Padają rozpalone słowa, powstaje harmider, z ust buchają zapachy rumu, oczy błyszczą. Wójt Rajajono nie może mi już tłumaczyć, jak dotychczas, malgaskich słów: wszyscy równocześnie mówią. Nawet kuzynowie Bezaazy zerwali się i wyrażając swe domysły, patrzą na górę jak opętani. Jakiś zbiorowy rostrój wyobraźni, wywołany zapewne działaniem rumu. Szybko, jak wybuch, tak też i mija. Po chwili wszyscy się uspokajają, milkną, siadają na stare miejsca, opanowani i nieco zastydzeni.

Po krótkiej, przyciszonej rozmowie między sobą, Malgaszę dochozą do jakiegoś postanowienia, a stary Dzinarivelo odzywa się w ich imieniu:

— Wiesz Ambinaniteło uznaje i kocha swych białych gości i w myśl dawnych obyczajów a w dowód trwałe i szczerę przyjaźni pragnie im wyznaczyć żony spośród swych dziewczyn. Czy masz, vazaho, jakieś specjalne życzenie co do twej żony?

„Dajcie mi Benaczehinę!” — chciałbym krzyknąć, i krew uderza mi do głowy. Lecz krzyk swą myśl w obawie wyrządzenia jakiejś nieświadomej zniewagi i tylko wyciamam:

— Chciałbym mieć żonę młodą, świeżą, piękną, wesolą, cnotliwą, zdrową, szlachetną...

Powrót do spraw ziemskich przynosi zebrałym wyraźną ulgę a szczerze wylicznymi cnotm mej przyszej żony wywołuje należyty skutek: pogodny uśmiech na wszystkich twarzach. Dzinarivelo pyta: — Czy może być moja wnuczka Benaczehiną?

— Może być! — odpowiadam i dziwie się, że nikt nie słyszy bicia mego serca.

— To dobrze. Rodzina przyprowadzi ci ją dziś wieczorem, gdy zapadną zupełnie ciemności — zawiadamia Dzinarivelo po prostu, głosem zwykłego zarządzenia, i na tem sprawa załatwiona.

Dzień upływał i chylił się ku wieczorowi pod znakiem złych wstrząsów, wiszącej w duszach burzy, zawziętości i złowieszczej niewiadomości. Teraz jest wiadomo: nastal łagodny wieczór. Góra Beniowskiego wreszcie usmierza się, gaśnie i zasypia w mroku jak inne góry, jak ktoś, co spełnił swój obowiązek.

Odniosłem wielkie zwycięstwo: zwyciężona, to pierwsze, żywe sprzęgło między mną a wsią Ambinaniteło.

Czekam zupełnych ciemności.

**Stanisław Mackiewicz (Cat)**  
**CAŁA PRAWDA**  
Cała prawda. — Struś kręci głową w piasku. — Tiań-Szań. — List gen. Andersa. — Stronnictwo Narodowe. — Notatki polemiczne. — Humor na czasie. — Z powrotem do „Ozonu.” — Świat laciński.  
cena 2s.

NOWOŚĆ!

Henryk Tennenbaum

NOWOŚĆ!

EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA W GOSPODARSTWIE ŚWIATOWYM

Cena 7s. 6d.

do nabycia w księgarniach M. I. KOLIN (Publishers) LTD. 9, New Oxford Street, W.C. 1. PERTH: 28, King Edward Street. DUNDEE: 24a, Cowgate. BLACKPOOL: 40, Lytham Road.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

CUD NAD TAMIZĄ

W ostatnich dniach rząd nasz odniósł... Cud nad Tamizą...

Właściwie, przeżywamy bujny renesans... Cud nad Tamizą...

Może jest prawie tak dobrze, jak utrzymują... Cud nad Tamizą...

Gdy zgrzesza analiza pacyfikacji... Cud nad Tamizą...

Dola partii rozbitej przedstawia się dość... Cud nad Tamizą...

Nie jestem poecie, ale kiedyś garem Poeta... Cud nad Tamizą...

Jako człowiek oświadczenia niezainteresowany... Cud nad Tamizą...

Ta drobna rzecz zwie się prawdą... Cud nad Tamizą...

Zyjemy w kraju, którego mieszkańcy nie... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

Minister Edon wrócił ze Wschodu... Cud nad Tamizą...

NOWOŚĆ!

Lucjan Lagniewski

NOWOŚĆ!

WRZESIEŃ W POLSCE

Cena 7s. 6d.

do nabycia w księgarniach M. I. KOLIN (Publishers) LTD. 9, New Oxford Street, W.C. 1. PERTH: 28, King Edward Street. DUNDEE: 24a, Cowgate. BLACKPOOL: 40, Lytham Road.

JERZY GIŻYCKI

WŁOSI W ABISYNJI

Pod koniec kampanji abisyńskiej, pewien... Włosi w Abisynji...

— Powinniśmy postawić panu Edenowi... Włosi w Abisynji...

Mój rozmówca twierdził, że oburzenie... Włosi w Abisynji...

Niewątpliwie była to oszczędność... Włosi w Abisynji...

Ciekawszą są oddziały, jakie te sankcje... Włosi w Abisynji...

Po powrocie do Addis-Abey z jednym z... Włosi w Abisynji...

— Jakiś „wciążający”? Przecież to... Włosi w Abisynji...

— Tak, ale niech pan przyjrzy się... Włosi w Abisynji...

Teza pana W. była następująca... Włosi w Abisynji...

Widome jest dzisiaj, że negus gotów był... Włosi w Abisynji...

Wskutek olbrzymich potrzeb afrykańskich... Włosi w Abisynji...

Jeżeli Włosi nie mogli zmniejszyć... Włosi w Abisynji...

Wątpię, że mój rozmówca w Addis-Abey... Włosi w Abisynji...

Teraz, gdy władanie Abisynją skończyło... Włosi w Abisynji...

Nafta — zawiodła całkowicie... Włosi w Abisynji...

Jedną realną możliwością było osadnienie... Włosi w Abisynji...

Włosi zastawiali gazy podczas operacji... Włosi w Abisynji...

Abisynja nie jest jednolitą etnicznie... Włosi w Abisynji...

Jeżeli wspomniane metody podboju... Włosi w Abisynji...

Jedną z ulubionych włoskich metod... Włosi w Abisynji...

Jedną z poważnych przyczyn upadku... Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

ków drogowych. Z początku Abisyńczycy... Włosi w Abisynji...

Abisynja, przed okupacją włoską, była... Włosi w Abisynji...

Osłabienie Włoch, zamiast starać się... Włosi w Abisynji...

— Rosowie, zrzuconowi ryzykownym... Włosi w Abisynji...

Również i ogromnie liczny kler abisyński... Włosi w Abisynji...

Mussolini przyrzekł wyprowadzić nie... Włosi w Abisynji...

Potęna fala oburzenia i nienawiści... Włosi w Abisynji...

Tysiące Abisyńczyków zostało zamordowanych... Włosi w Abisynji...

Jedną z wielu przyczyn niezadowolenia... Włosi w Abisynji...

Abisyńczycy móścili się jak mogli... Włosi w Abisynji...

Zwolenienie chłopów pańszczyźnianych... Włosi w Abisynji...

Abisynja nie jest jednolitą etnicznie... Włosi w Abisynji...

Jeżeli wspomniane metody podboju... Włosi w Abisynji...

Jedną z ulubionych włoskich metod... Włosi w Abisynji...

Jedną z poważnych przyczyn upadku... Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

jak i całego świata, że Abisynja jest krajem... Włosi w Abisynji...

Miał to być jeden więcej dowód, że... Włosi w Abisynji...

Innym ważnym elementem tej operacji... Włosi w Abisynji...

Leżąc wreszcie te przelicytowania się... Włosi w Abisynji...

— Tak wspominałem, wobec prawie całkowitego... Włosi w Abisynji...

— Ale i tu Włosi napotkali na poważne... Włosi w Abisynji...

Rosowie, zrzuconowi ryzykownym... Włosi w Abisynji...

Również i ogromnie liczny kler abisyński... Włosi w Abisynji...

Mussolini przyrzekł wyprowadzić nie... Włosi w Abisynji...

Potęna fala oburzenia i nienawiści... Włosi w Abisynji...

Tysiące Abisyńczyków zostało zamordowanych... Włosi w Abisynji...

Jedną z wielu przyczyn niezadowolenia... Włosi w Abisynji...

Abisyńczycy móścili się jak mogli... Włosi w Abisynji...

Zwolenienie chłopów pańszczyźnianych... Włosi w Abisynji...

Abisynja nie jest jednolitą etnicznie... Włosi w Abisynji...

Jeżeli wspomniane metody podboju... Włosi w Abisynji...

Jedną z ulubionych włoskich metod... Włosi w Abisynji...

Jedną z poważnych przyczyn upadku... Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...

Włosi w Abisynji...





# SKARB NICA P O L S K A

ADAM MICKIEWICZ

## Farys

### Kasyda na cześć Emira Tadz-Ul-Fechra ułożona, Janowi Kozłów na pamiątkę przypisana

Jak łódź wesola, gdy, uciekłszy z ziemi,  
Znowu po modrym zwiąja się kryształe  
I pierś morza objąwszy wiośły lubieżnemi,  
Szyja labędzia buja ponad fale —  
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki  
Na obszar pustyni strąca,  
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki  
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody  
stał goraca.

Daremnie grozi! Pedzę i podwajam razy.  
Obłok strudzony zaczął po niebie się staniać,  
Jużem ocale niebo w tyle go porzucił.  
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:  
Zaczerpnął się od złości,  
Obłął się żółcią zadrzości,  
Nakoniec jak trup szerniał i w górach się  
schował.

Już płynie w suchem morzu koni  
mój i roscina  
Sypkie batwany pierściami delfina.  
Coraz chyłej, coraz chyłej  
Coraz wyżej, coraz wyżej  
Coraz wyżej, coraz wyżej  
—  
Już nad klub kurzu wyłata.

Peź, latawce białonogi!  
Stępy, z drogi! Chmury, z drogi!  
  
Teraz oczy kręgiem słońca  
Okręciłem kolo siebie:  
I na ziemi i na niebie  
Już nie było za mną gońca.  
Tu natura, snem ujęta,  
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy.  
Tu żywioły drzemiały w ciszy,  
Jak niepłoszone zwierzęta,  
Których stado nie ucieka,  
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Czarny mój rumak, jak burzliwa chmura,  
Gwiazda na czole jego, jak jutrzhenka, błyska,  
Na wół wiatrów pusił strusiej grzywy pióra,  
A nog białych połatem błyskawice ciska.  
Peź, latawce białonogi!  
Góry, z drogi! Lasy, z drogi!

Przebóg, ja tu nie pierwszy! Srd  
piaszczystej kępy  
Oszańcowane świeca się zastępy,  
Czy bładz? Czy z zasadki czatują na tury?  
Jeździec w białej i konie strażliwej białości...  
Przybiegam — stoja, wolam — miłca, to  
są trupy!

Daremnie palma zielona  
Z cieniem i owocem czeka:  
Ja się wydzieram z jej łona,  
Palma ze wstydem ucieka,  
Kryje się w głęb okazy  
I szmerem liści z mojej dumy się  
uśmiecha.

Starożytna karawana,  
Wiatrem z piasku wygrzebana!  
Na szkieletach wielbłądów siedzą  
jeźdźców kości:

„O szalony! Gdzie on goni!  
Tam od ostrych słońca grótów  
Głowy jego nie ochroni  
Ni palma zielonowłosa,  
Ni białe łono namiotów!  
Tam jeden namiot — niebioso.  
Tylko skały tam nocują,  
Tylko gwiazdy tam koczują“.

Przez jamy, gdzie były oczy,  
Przez odatę z ciała szezęki,  
Piasek strumieniem się toczy  
I złowrogie szemrzejęki:  
„Bedumie opętany!  
Gdzie lecisz? Tam huragany!“.

Daremnie grozi, daremnie!  
Pedzę i podwajam razy.  
Spójrzaj, aż dumne glazy  
Zostały zdala ode mnie,  
Uciekają rzędem długim,  
Kryją się jeden za drugim.

Ja pedzę, ja nie znam trwogi.  
Peź, latawce białonogi!  
Trupy, huragany, z drogi!

Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierył,  
Że Beduina wężem na pustyni jęczem —  
I w pogon za mną skrzydłami uderzył,  
Trzykroć czarnym obrwał głowę moją  
wieniec:

Huragan, z afrykańskich pierwszy  
wchryczycieli,  
Przechadzał się samotny po żwiru topieli,  
Obaczył mi zdalka, wstrzymał się i zdumiał:  
I kręcał się na miejscu, jak do siebie sumiał:  
„Co tam za jeden z wichrów, moich  
młodszych braci,  
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,  
Śmie deptać lądy, którem w dziedziachcie  
ostagnał?“  
Ryknął i ku mnie w kształcie piramid  
ciągnął.

„Czuje — krakał — zapach trupi...  
Jeździec głupi, rumak głupi!  
Jeździec w piaskach szuka drogi,  
Szuka paszy białonogi.  
Jeździec, koniu, pusta praca:  
Kto tu zaszedł, nie powraca:  
Po tych drogach wiatr się biała,  
Unosząc z sobą swe ślady,  
Nie dla koni jest ta łaka,  
Ona tylko pastę gady.  
Tylko trupy tu nocują,  
Tylko sępy tu koczują“.

Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,  
Ciskał w górę, bił o ziemię,  
Nasyptywał wiru brzemie,  
Ja rzywałem się, walcąc śmiało,  
Targam jego członków kłęby,  
Cwiartując piaszczyste ciało,  
Gryzę go wścieklemi zębami...  
Huragan chciał z mych ramion w niebo  
ucieć ślupem:

Kracząc, lśnięciami szpony w oczy mi  
uragał —  
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.  
Kłóść się ulak? — Sęp ulak! i uciekł wysoko!  
Kiedym go chciał ukarać i majdan naciagał  
I gdem sępa oczyma poza sobą tropił,  
Już on wisiał w powietrzu jak planka szara,  
Wielkości wróbla — motyla — komara —  
Potem się całkiem w błękitie roztopił.

Nie wydarł się, wpol ciała zerwał się i rynał,  
Deszczem piasku z góry lynał!  
I legł u nog mych długim, jak wał miejski  
trupem.

Peź, latawce białonogi!  
Skały, z drogi! Sępy, z drogi!

Wyciągnął ku światu ramiona uprzejmie,  
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę,  
Myśl moja ostrzem leci w otkhanie błękitu,  
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu.  
Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce z niem  
grzebie,  
Tak ja za myślą duszę utopilem w niebie!

ADAM MICKIEWICZ.

X. WALERJAN KALINKA

## POLSKA POZA KRAJEM

W więzieniach cytadeli warszawskiej zamknięci po celach więziennych, gdy po długim, nużącym milczeniu, szelest w sąsiedniej izbie posłyszają, zbliżają się do ściany, nadsłuchują ucha i cichym, miarowym pukaniem dają znać o sobie. Tym językiem tajemniczym, teraz jeszcze, rozmawiają między sobą rozświetlane dawniej polski ziemie; ich głos słuchamy pilnie, o ile rozumiemy, powtarzamy go towarzyszym wygnania. Do tej cichej, więziennej rozmowy, i my dzisiaj przyłączym się cheśmy. Z różnych stron polskiej cytadeli, gdy nas dochodzi coraz żywsze pukanie, spłótnięciem, spłótnięciem niedoli, i my pragniemy odpowiedzieć.

Lat temu trzydzieści, kiedy dziesięć tysięcy Polaków wyszło razem z kraju, była emigracja tręścia i duszą narodu; unosząc skargi i nadzieje Polski, unosiła i jej siły. Naród w żalobie i boleści pogrążony, zdając na swych pierwotnych świadectwo życia, zdał zarazem i swoje życie; ich myśli i uczucia przyjął za swoje; ich pieśni, które nieznanym powtarzał głosem, były dla niego prawem zakonu. Piętnastoletnia historia emigracji agonia, rzecz można, w zupełności, współczesna całej polskiej historii. I dopiero, gdy nowe próby ale i nowe niebezpieczeństwo wychodźstwa rozwinęły, gdy na niebie emigracyjnym gasnąc zaczęły świecić gwiazdy, a w rozdzielonych prowincjach wypłynął szereg nowych praw i potrzeb, które miejscowym wymagały obronców, wtedy dopiero naród oknął się za swojej martwościami i życiem własnym żyć począł. A gdy później część naszych inwalidów wróciła do Polski i w swej schorzałej przed bracia stawiała się niemością, kraj ich widokiem boleśnie zdziwiony, stracił do reszty swą ufność: w miejsce dawnej, zbyt łatwej wiary w niemożliwość wychodźstwa, zbyt prędko nastąpiła niemal zupełna niewiara.

Nie jeden w kraju naszym jest dziś przekonany, że emigracja, złożona z ludzi, co „kiedyś żyli w dostatkach a wszystko za kraj stracili“, stanowi garstkę niedarzę, gdzie mniejsza nędza wycisnąć nędzę wspiera, garstkę popiołów tych, co już pomarli, i drobny zastęp tych, co żyjąc ujadnie przeszłością, w której czynny brali udział, dla kraju, dla przyszłości już wcale nie żyją. Te cisze wiecznego rozamiętania, jeśli niekiedy coś przerwie, to w mniemaniu niemojnego, chyba echo jakiejś waśni nieskończonej, chyba wybuch drażliwości niezgłaszanej; rzecz to przecież tak zwyczajna w domach starców, „szczętów wielkiej armii“, którzy i nie nie zapamiętali i nie mogą się nie nauczyć! Reprezentacja, przypomnienie polskiej Europy i inne tym podobne wyraży, które i w kraju słysząc się dają o emigracji, chociaż ich znaczenia mało kto dochodzi, przedstawiają tam pięknią zapewne doznajcy wywołania u obcych współczucia, ale nie tyle dla nieszczęsnej ojczyzny ile dla nędzy zwałonych jej synów. Wreszcie usiłowania ku wznieśieniu jakiegos dobroczynnego zakładu dla tych, którym dzień prawie każdy daje przytułek na cementarzu w Montmorency; nabożeństwa, zebrania pogrzebowe, nekrologi i obchody żalobne umierających za umarłymi, dopełniają obrazu, świadczą bezpamiętnia przed niejednym, że emigracja jeśli żyje, to tylko „swych zgonów żalobą“.

Takie pojęcia o wychodźstwie szerzą się od lat kilku, czytamy je w gazetkach, słyszymy w poufnej z rodakami rozmowie. My, pisząc dziś o emigracji, nie będziemy ich przecież zbijałi, bo ani udawać się nie chcemy za dostateczniejszym, niżli jesteśmy rzeczywistości; ani też nie myślimy dowodzić tego, że żyjemy. Nie mamy również zamiaru przekonywania, że oprócz czei przeszłości, coś więcej nas zajmuje; i że walka opinii politycznych jeszcze nas tak nie zagłuszyła, abyśmy w tym chórze niesformnym nie byli w stanie rozróżnić głosu czystego patriotyzmu. Węć nie tłumając się wcale za emigracją, bo nie o nią tu idzie, pragniemy tylko gorące a serdeczne braciom naszym w kraju posłać ostrzeżenie, aby osłabiając ufność do wychodźstwa i lekceważąc jego środki, nie uchylili pewnym, pierwszemu rzędu sprawy naszej potrzebom, nie krzywili i wobec wroga nie rozbrali samych siebie.

II

Najprzeczniejszą z królów polskich w XVI stuleciu, Zygmunt August, pisząc do królowej angielskiej, Elżbiety, ostrzegał ją, aby nie dozwalała poddanyom swoim posyłać Moskiewie ulepszonej broni, a zwłaszcza też zdolnych inżynierów, którzyby ten naród barbarzyński nie tylko na szkodę Polski, ale całego chrześcijaństwa, w sztuce wojennej wycwiczyli. — W trzy wieki później, cesarz Mikołaj, wydając manifest przez jedną z swych wojen szczęśliwych, wołał do całej Europy: Polacy to, wychodzący polsey, szerzą nieufność do Rosji i wniecają przeciw niej obcych narodów nienawiść!

Tak w tej wale odwiecznej, którą Polska toczy z Moskwą, chociaż z odmianą czasów i zdarzeń, zmieniła się postać walczących, ich rolę pozostały też same. Długo zamydłane, zapomniane tradycje polskiej polityki podniosła nowo emigracja i w połowie XIX w., zjawiając się wśród obcych, po dawnemu, jeśli nie bioną to przestroga, służyła europejskim narodom. Trzydziestoletnia czynność emigracji, mimo błędów prawie nieuchronnych, które popełniła, mimo podziału na stronnictwa, kilku apostazji i leniejszych może obłąkań politycznych, była, co najmniej rzecz można, bardzo niedo-godna dla wrogów, zwłaszcza dla Rosji. Dzięki czujności wychodźstwa, ookołowidzie się na ziemi naszej ku wynarodowieniu Polski i co Moskwa, poza granicami swymi, z cudzą krzywą przedsięberze, jest zaraz odkryte, ogłoszone, wyjaśnione. Historia ostatnich lat Polski, którą wrogowie nasi usiłovali wykrywić lub puścić w niepamięć, skutkiem publikacji emigracyjnych, stała się dla Polaków jasnieszją, a Europie lepiej wiadoma; a samej Rosji dzieje, z kłamstw i fałszywym odczytaniem, stały coraz bardziej za naukę i ostrzeżeniem rządóm i ludom europejskim. Rząd rosyjski wrodnie powta-rza się — wyrzekł powiaw mażtanu wielkiego znaczenia, gdy przed wybuchem wojny wschodniej, odczytał zbiór dokumentów z pierwszego polski rozbioru. Emigranci polscy oczerniają Rosję — wykrykła temu kilka tygodni jedna z rosyjskich na Zachodzie

gazet, widząc z listy podejrzeniem opinia europejska przyjmując obecnie wszystko co od Moskwy pochodzi. — I nie przypadek to żrządli, że wychodźstwo trwa od lat tyłu, a tyle miało środków szkolenia swym wrogiem; wywołała je jakaś wyższa potrzeba, jakiś głębszy, ogniem wojennym i ogniem cierpienia z samego dna wydobyte, uczucie narodowe. Bo kiedy, pod koniec r. 1831, kilka i doś w bistrzych umysłow radziło, aby wzorem barskiej konfederacji przedrzeć się na Włołoszyczną i wojnę turecko-moskiewską nanow zapalić, nikt myśli tej nie pochwylił, nikt nawet nie wziął jej na uwagę; wszystkie jakby instynktem popchnięci, dobrowolnie przyjęli tulaćtwo i wszyscy na zachód ruszyli.

Jakaż ich gwiazda tam widła?... Ostatnim kraju podzielał z listy żyjących wymazany, wśród walki od państw i rządów odepchnięty, naród nasz, czego zbrojnym wysiłkiem nie dostąpił, to swoim synom kazal zdobywać przez trudy i boleści wygnania. Nie należała Polska do rodziny państw europejskich; pozabawiona rządu, wspólnej administracji i służby zagranicznej, wydawała się zbiorem różnych prowincji, które na radach europejskich wielu miejsca otrzymać nie mogły. Było więc zadaniem emigracji odwrócić, w oczach świata, tę Polskę jako osobną, polityczną społeczność; przypomnieć, że w przeszłości była niepodległym narodem, przekomać, że nim w przyszłości być może. I w istocie, ledwo na Zachód przybyli, jedni z wychodźstwa poczęli ją ukazywać wzburzonym ludom jako ideę nowych czasów i potrzeb, którą zmienną postać świata musi kiedyś wydać; drudzy, nie czekając gwałtownych przemian, szukali jak ją wprowadzić odrzuć, wedle czasu i okoliczności, w istniejącą Europę stosunki i prawa nasze o jej prawo publiczne zaczepić. Trudne to były, nadwyraz mozolne i często bezowocne starania; a jednak, gdyby one poprzedziły naszą ostatnią wojnę, gdyby rok 1830 zastał był na Zachodzie polską emigrację, mozeby insy wypadł rezultat dziesięciomiesięcznych bojów. Lew polski, nieprawości Moskwy, Europa lepszą świadoma, nie przypatry-walały się z taką obojętnością krwawym zapasom uciemiężonego narodu; tonację ofierze mozeby insy podala ratunek niż owe słowo, z odległego rzucone brzegu, że jej utonąć nie pozwoli. A prowadząc Dalej do przypuszczenia, dodamy: że równo z Europą mozeby i Polska była ostrzeżona, że i w kraju naszym znalazłoby się wówczas więcej doświadczenia, więcej ludzi oswojonych z życiem wolnego narodu, że służba polityczną, z warunkami niepodległości.

Nie udało się wynaliskom powstającej polski, chociaż armia nasza jeszcze zwycięskie zdobywała laury, otrzymała w angielskim parlamencie w r. 1831 choćby jedno słowo współczucia i upamięnia się za nami. Ale w piętnaście lat później, sympatia już tak bardzo była dla nas rozbudzona, że fakt daleko mniejszego znaczenia, zabór Krakowa, który w tym samym parlamencie dyskusję, która trwała trzy dni. A nie tylko tym razem odpowiedź się za Polską mówcy słynni i dostojni; za każdym gwałtem na Polsec świeżo dokonywanym, powtarzały się ich odczyty i protestacje, i tak angielscy jak francuscy ministrowie oświadczyli, że stan obecny w polskich prowincjach jest bez-prawiem, że go żadnym traktatem nie można usprawiedliwić, że kwestja polska, jak była przed rokiem 1815, pozostaje i nadal nie-zalawiona. Dzisiaj to wszystko poszło w niepamięć, jakby do nieoprotnej należało przeszłości. A przecież, chociaż umilkły głosy niedęty tak wymowne, choć skarg i żalów polski nikt w izbach ani na meetings nie opowiada, i dawna obojętność na chwilę zapanowała nie stracone to bynajmniej dla narodu zdobywcę. Ze skarbem z takim drudem zbranego przyszłość skorzysta; i kiedy

chwila szczęśliwa nadejdzie, wraz z echem głosów dził zapomnianych, wróci się obraz splebionych na Polsce bezpamięty i pamięć ogłoszonych za nią protestacyj.

III

Było to zaprawde piekielną Moskwę zrzędnocią, że zagarnawszy ogromne przestrzenie dawnej polskiej Rzeczypospolitej, jej części kmięższe rzuciła na pastwę sąsiadom niemieckim, jakby dla współnictwa popelnionej zbrodni, jakby na straż własnego zaboru. I jeśli o ten węzeł fatalny, na grobie polski zamortany, rozbija się dotąd nasza sprawa w sferach zewnętrznej polityki, to w niem także nasze życie wewnętrzne, jednoś i zborowe działanie, znajdując naj-ciejszą, najmniejbezpieczniejszą zawilosc. Trzy rzady, czterzy odmienne administracje i kilka z sobą niezgodnych systemów wycho-wania, które cięzą na ziemi naszej, sprawily, że wielki interes polski w kraju lamie się wciąż na różne, cząstkowe zadania i że prađ życia narodowego, z swojego wyparty loży-ska, w cichych i ścisniionych rozplywa się strumykach. Każda z ziem naszych, do obcego przykuta organizmowi, musi weń wchodzić, w nim się zagłębiać dobrowolnie, choćby dlatego, aby się kiedyś tem pewnie oderwać; musi od wspólnej odwracać się jednoci, aby zachować jej cząstkę i siebie; musi domowe wnosić kaplice, gdy wielka świątynia zawarta. Wieć dla jednej, Polska to Poznańskie, a jej zadaniem ziemie zaslonić od Niemców; dla drugiej, Polska to Krolestwo, jej sprawa gówną obywatelskie ocalić majatki; dla trzeciej, Polska to Galicia, a jej przeważnym interesem pogodzić się z wlościami i zabezpieczyć unję; dla czwartej, Polska to step i ona tam ginie w burzanach, bo ludzie w nich siebie nie widzą, nie słyszą; dla piątej i szóstej, Polska to Litwa i Żmudz, a tam już nie cialo ale duch wola przedewszystkiem ratunku. I tak, rozliczną uciñsioną niedolą, podobny jest naród polski do grona ludzi schorżalych, którzy nie uradzić, nie razem zdziadac nie potrafia, bo każdy swoją chce naprzód opowiedzieć i wyleczyć chorobę; podobny jest także do domu, na którym dach zajął się pożarem, a żaden z mieszkanców nie bieży z obroną, bo każdy strzeże swojego mienia i swojej jednoci.

Wpórod takiego rozrozdzenia sił i walczących obowóz, gdzie znalazł punkt dość wysoki, aby z niego objąć całą polski przestrzeń, aby na nim zatknąć sztandar zarówno drogi dla wszystkich? Który gród moze być dzisiaj wspólna nam stolicą i która ziemia twierdzą dla wrogów niedostępną, iżby naród cały powierzył jej swój skarb nieoceniony, swą arkę przetrwania... myśl o swej niepodległości? Dopoki Polska w niewoli i rozdziale, póty poza krajem tylko płonąć moze w całym blasku ta świąta miłość ojczyzny, niehumiona widokiem wrogów, niekrzywiona pragnieniem zemsty, czysta od nienawiści, wolna od prowincja-lizmu, w który tam koniecieznie popaść muszą ludzie choćby najlepszej woli, najszczerzego uczucia, a przecież niemi i głusi na wszystko co opodal nich żyje, cierpi i walczy. Tylko poza krajem żyć i rozwijać się moze patriotyzm, który całość polski i każdego jej zakątka ogarnia, wyswohodzony z pływów i zachodów co go w kraju pętać muszą, daleki od jarmna co go obojęty; tylko poza krajem moze on nie mieć „połocy skromnej jako wał wystygły“, moze nie być „jak otkhan w myśli niedosięgły“, i przy każdym i o każdej porze okazać się śmiało, spokojnie, bezpie-cie. I tylko też poza krajem, między dobrowolnymi dla polski wygnaniami, duch polski potrafi i na zewnątrz zdobyć dla siebie uznanie i wewnętrznie rozrastać się i dojezwać.

Rozwiewartowanych części związaniem, roz-

RYSZARD BERWIŃSKI

## W Częstochowie

„Quae medicamenta non sanant, ferrum sanat“ (HIPPOCRATES)

Sio dni odpustu święte ogłosily spise —  
Zająsniły świeczniki, zaczerptały krzyże;  
Lud odwieczną niewolą i nędzą arzezony,  
Opuszczal swą chudobę, rzucał dzieci, żony,  
Dla kilku dni odpustu — dla stu dni zbawienia,  
Dla marnych stu dni szczęścia — tak czuł swe cierpienia,  
Wszystko swoje poświęca — tak do szczęścia wdycha!  
Wieków nędzy zapomniał — przyszłości oddycha!  
Przyszłości stu dni marnych — a zbliżka i zdala  
Pływie jak wódmym wiatrem rozdymana fala.  
Prosto w nawę kościoła — i u stóp ołtarza  
Lamie się i bezsilny czolo w prochu tarza!

Gdzież ta żąda swobody, co go niosła w biegu?  
Schmie na progu kościoła, jak pianą na brzegu!

A przecież, gdyby fala ta głowę podniosła  
I gdyby chciała pierś swą scisnąć i rozwinąć,  
Trzebaby wielkiej ręki, żelaznego wiośla  
I żagli genjuszow, by do niej przeląpnąć!  
O! nie, zarste! — dość jest żelaznego krzyża  
I czarnej sukni mnicha! — Patrz — kapłan się zbliża —  
Za nim drugi i trzeci — już orszak ofiarny  
Rozwinął się ponury, milczący i czarny  
Jak chmura tajemnicza; — klekli — i lud kłęczy;  
Powstali — i lud powstał; jękli — i lud jęczy  
I w niebo głosy swoje podnosi wolanie:  
„Od głodu i niewoli zachowaj nas, Panie!“

O! biedny, biedny ludu — pomysłam wtedy,  
Tys biedny, a Bóg twojej nie litościw biedy —  
Ty właczasz, z Bóg placów twych od wieków słuha,  
Ty właczasz, a Opatrzność na wolanie głucha!

O! biedny, biedny ludu, gdyby ten Bóg żywy,  
O którym ciebie uczył, że jest sprawiedliwy;  
Gdyby on berło złożył ręce,  
I gdyby w każdej takiej pochmurnej sukience  
Mógł utkwieć pierion czynu — a w każdym kapłanurze  
Mógł zbudzić błyskawicę — o! biedny mój ludu,  
Zwiastowałbym ci wtedy nie modły lecz burze!  
I najwiecejszego bym ci dał dowody cudu:  
Każdy krzyżobym przemienił na miecz obosieczny,  
I odpustbym ci sprawił zupełny — bo winny!

RYSZARD BERWIŃSKI.

X. WALERJAN KALINKA.

ADAM ASNYK

## Limba

Wysoko na skały zrębie  
Limba iglasta korone  
Nad ciemne zwięsila głębie,  
Gdzie leca wody spienione.  
  
Samo ta rośnie na skale,  
Prawie ostatnia już z roku...  
I nie dba, że wrzące fale  
Skałę podmyły w spodu.  
  
Z godności pełną żalobą  
Chylił się ponad urwisko  
I widzi w dole pod sobą  
Tłum święteków rosnących nisko.  
  
Te latwo wachodzące karmły,  
W ścisnitym krocząc szeregu,  
Z dawnych ją siedzib wyparty

Do krajin wiecznego śniegu.  
  
Niech spanoszeni przybywszy  
Pelzają dalej nanowo!  
Ona się w chmurach kołysze —  
Ma wolne niebo nad głową!  
  
Nigdy się do nich nie zniozy,  
O życie walczycy nie będzie;  
Wciąż tylko wnoszą się wyżej  
Na skał spadziście krawędzie.  
  
Z pogardą patrzy u szczytu  
Na tryumf rzeszy poziomej:  
Woli samotnie z błękitu  
Upać — strzaskana przez gromy.

ADAM ASNYK.